Rocznik II. Kraków, 1 kwietnia 1900. Numer 4.

# SKARBNICA

pismo miesięczne
popularno-naukowe i powieściowe.

Wydawca i redaktor:
Ks. Marceli Dziurzyński.

**Warunki przedpłaty i adres wydawnictwa:**

**Przedpłata** roczna wynosi w **Austryi**: **5** koron (**2** złr. **50** ct.), **półroczna: 2** korony **50** hal. (**1** złr. **25** ct.). **W Niemczech** na rok: **5** marek. — **W Ameryce** rocznie: **1** $^1/_2$ dolara.

**Każdy**, kto składa z góry **całoroczną** przedpłatę otrzymuje jako bezpłatną premię: **Kalendarz** ścienny.

**Adres:**

Redakcya *Skarbnicy* w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.

NAKŁADEM WYDAWCY.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1900.

# NOWY DZWONEK

pismo ludowe

podające: **wiadomości polityczne i społeczne, kronikę kościelną, nowiny i rozmaitości.**

Wychodzi rok ósmy w Krakowie, **dwa razy** w miesiącu, t. j. dnia 1-go i 15-go.

**Przedpłata** na *Nowy Dzwonek* wynosi:

**rocznie**: **5** koron (2 złr. 50 ct.) — **półrocznie**: **2** korony **50** hal. (1 złr. 25 ct.)

Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się.

**Adres** do przesyłania przedpłaty:
Redakcya *Nowego Dzwonka*
w **Krakowie**, ulica Basztowa L. 4.

Rok II. Kraków, 1 kwietnia 1900. Numer 4.

# SKARBNICA

pismo popularno-naukowe i powieściowe
wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***



## Trzy podania ludowe.

### (O pierwszem kwieciu — o jaskółkach i skowronku).

**O pierwszem kwieciu.** Nie wszyscy wiedzą, bo Biblia o tem nie mówi, że św. Józef ociemniał na starość. Według legendy ludowej — Opiekun Pana Jezusa pod koniec swego żywota zarzucił stolarkę, jak również nie brał się i do robót ciesielskich, z których się przedtem utrzymywał, ale wyrzynał w drzewie drobne ozdoby do kościoła; sam go zbudował własnemi rękoma na chwałę Pańską, a potem przystrajał prześlicznie.

Dużo to pracy kosztowało; długo też św Józef klęczał nad nią, aż wzrok stracił wreszcie. Przez dziesięć latek modlił się święty slepy starzec nie szemrząc na swe nieszczęście, ale dziękując Bogu za piękny świat, dla ludzi stworzony, który i on podziwiał ongi, a którego dziś nie mógł widzieć.

Pamiętał Pan Jezus o Oblubieńcu swej Matki i uprosił Ojca w niebiosach, by pozwolił Józefowi w nagrodę świątobliwego życia, ujrzeć raz jeszcze przed śmiercią cudy przyrody na ziemi. I stało się zadość dobremu sercu Syna Maryi. Józef przejrzał na kilka tygodni przed śmiercią.

Właśnie kończyła się natenczas zima. Śnieg tajał, nastały roztopy. Patrzał św. Józef na budzącą się do życia ziemię

i błogosławił jej uszczęśliwiony, chociaż jeszcze dość długo trzeba było czekać na zieleń wiosenną. Wtedy to, za przyczyną Pana Jezusa, z pod roztajałego śniegu wychyliło się drżące, nieśmiałe, pierwsze kwiecie, białe — jako puchy śnieżne. Były to pierwiosnki. Wielce się niemi uradował św. Józef, który zaraz uczuł, że wiosna nadchodzi, i że mu Bóg pozwoli nacieszyć się nią jeszcze przed zgonem. Niebawem też ciepły wiatr zaczął ziemię osuszać, krzewy puszczały pęcze, uginając swe gałęzie pod ciężarem świegocącego ptactwa. I znowu św. Józef gorące składał dzięki Najwyższemu za to, że mu wolno było jeszcze raz widzieć zieleniejącą ziemię.

Kiedy wreszcie skowronki zanuciły na cześć Maryi, konwalijki zadzwoniły modlitwę, a fiołki niby kadzidłem, napełniły wonią lasy na chwałę Stwórcy — św. Józef spokojnie zamknął oczy rozmodlony i zasnął na wieki. Odtąd zawsze po dniu św. Józefa Oblubieńca, który wiośnie błogosławi co rok — z pod śniegu pierwsze wychylają główki — białe pierwiosnki. Pierwsze z wiosną kwiecie uprzedza zieleń powszechną, która napełnia serca ludzi nadzieją.

**Skowronki.** Szedł Piast za pługiem po swej roli, śpiewając pieśń do Bogarodzicy. Wokoło pustką leżały niwy. Hen, w dali tylko bieliła się chata kmiotka, schludnością świecąc, lubo nie zamożna. Śpiew ustał, Piast orał dalej wśród ciszy.

Wtem jęła go się jakaś dziwna tęsknota, co niewiadomo skąd przyszła. Czuł dotkliwie swoją samotność w szczerem polu. Już z żalem ku niebu podnosił oczy, że Bóg niczem nie ożywi pustki rolnikowi w jego znoju, gdy nagle pług obsiadły nieznane przedtem ptaszęta i zwróciły uwagę kmiecia głośnym szeptem.

Przyjrzał się im bacznie. „Podobne — rzekł — ale przecież nie wróble...“ Chciał pochwycić jednego, ale ptaszki spłoszone, frunęły. Nadeszła niebawem Rzepicha, niosąc mężowi w trojaczkach posiłek na południe. Teraz oboje zobaczyli, jak te same ptaszki goniły po roli za owadami. Rzepicha również zapewniała Piasta, że nigdy przedtem nie widziała takich dziwnych wróbli. Wtem jeden z tych ptaków, śpiewając prześlicznie — niby słowik — zaczął wzlatywać z roli prosto w górę... Leciał coraz wyżej, wyżej, aż hen, w obłoku zawisł na chwilę, trzepocąc skrzydłami i wciąż zawodząc swe pienia. Potem zwolna zaczął się spuszczać na dół, aż wreszcie, jak kamyk, spadł na ziemię z powrotem i pieśń swą urwał. Po nim to samo robiły kolejno jego to-

warzysze. Kiedy Piast i jego żona z wielkiem zajęciem przypatrywali się temu, nadszedł sąsiad ich, imieniem Skowron, znany we wsi bezbożnik, rabuś i podpalacz, który pozostał poganinem, nie chcąc uwierzyć w Chrystusa.

Właśnie znowu obsiadły pług Piasta owe ptaszęta, gdy się zbliżył Skowron. Wtedy Rzepicha nachyliła się ku skrzydlatym śpiewakom, pytając: „Cóżeście tam ptaszęta, widziały w obłokach?“ A na to ptaszki odparły chórem: „Byłyśmy w progu nieba i widziałyśmy Pana Jezusa“. „A Matka Jego tam była?“ — spytał Piast. „Siedziała u boku Chrystusa... Na Jej to cześć śpiewamy, bo wam kazała powiedzieć, że Syn Jej najbardziej ubogich chłopków miłuje“ — „A słyszysz ty, grzeszniku pogański“ — odezwała się Rzepicha do Skowrona, poczem spytała jeszcze: „Moje ptaszki, a nic wam Pan Jezus nie mówił?“ „Kazał nam mieszkać na roli — chórem odpowiedziały ptaszyny — i śpiewać nad polami, żeby uprzyjemniać ciężką pracę rolnikom.“ „O, Bóg wam zapłać, ptaszęta, za to, i Pannie Maryi, której śpiewacie w obłoku!“ — zawołali Piastowie, a za nimi powtórzył i Skowron, który odtąd uwierzył w Chrystusa, rzucił bożki pogańskie i zaczął wieść życie uczciwe, jako Bóg przykazał.

Na tę pamiątkę Rzepicha skowronki nazwała śpiewakami Maryi, które nawróciły grzesznika Skowrona; o nim zaś Piast pamiętał, gdy od pługa został królem i zrobił go swoim skarbnikiem.

**Jaskółki** — z upragnieniem wyczekiwane, wiosny prawdziwej zwiastuny, przybywają do nas znowu. Wracają w strony rodzinne z ciepłych krajów, wbrew utrzymującym się w niektórych okolicach wśród ludu naszego wierzeniom, że zimują w wodzie.

Strzeżmy się tych chyżych latawców — powiada dawna skazka, którą wieśniak polski musiał po części przejąć z podań ludów pogańskich — miejmy się na baczności przed jaskółkami!... I cóż komu zawiniły te ptaszęta lube, spędzające żywot swój cały w locie i ku naszemu pożytkowi niszczące mnóstwo szkodników skrzydlatych? Otóż posłuchajcie:

Za czasów Noego, jedynego cnotliwego męża wśród tysięcy grzeszników, kiedy Bóg postanowił ukarać ród ludzki za bezmierną rozpustę i zaparcie się wiary w Niego — ostrzegał niejednokrotnie mieszkańców ziemi, że skoro się nie poprawią, ustanie nareszcie miłosierdzie Pańskie. Aliści nic nie pomagało. Ludzie grzeszyli dalej.

Natenczas Bóg zesłał na ziemię mnóstwo duszyczek wiernych, które w niebie po cnotliwem życiu z Nim obcowały... Przemienił je w jaskółki. Zakazał im kiedykolwiek dotykać ziemi, grzechem zbrukanej, ale uwijać się w locie wiecznie, tuż nad ziemią — i ostrzegać ludzi, że wyginą wszyscy, skoro się nie upamiętają w swej rozpuście i w złoczyństwie swojem.

Zapełniły powietrze nieznane dotąd ptaszęta i chyżo uwijając się między ludźmi, powtarzały im w locie: „Będzie źle!“ Ale poganie jeszcze się z ptasząt naigrawali i broili dalej po dawnemu, a wreszcie było tego Panu Bogu za wiele.

Powołał do siebie jaskółki i spytał je, co widziały na ziemi. Ptaszki wreszcie zdały sprawę ze swych lotów, a na pytanie Boże, ilu jest między ludźmi sprawiedliwych, odpowiedziały, że jeno jeden, imieniem Noe ze swą rodziną. Pan tedy powiada: „Wytępię ich wszystkich, a ocalę jednego Noego“. Usłyszały to duszyczki litościwe, w jaskółki zaklęte, i żal się im zrobiło takiej siły ludzi. Znowu więc z nieba zleciały i powtarzały ludziom: „Będzie źle!“

Ale tymczasem otwarły się upusty niebieskie i zalały ziemię potopem. Wyginęli grzesznicy, a jeden tylko Noe ocalał z tem wszystkiem, co mu Pan kazał ukryć w arce. Jaskółki zaś podczas potopu obsiadły dokoła arkę Noego, ulepiwszy sobie pod jej oknami gniazdka.

Po potopie rozmnożyły się licznie i dalej, jak przedtem, przestrzegały nowy ród ludzki przed karą Bożą, szepcąc nad uchem każdego, kto niesprawiedliwie czynił w życiu: „Będzie źle!“

Odtąd po wieczne czasy jaskółki uwijają się nad ziemią i śledzą pilnie, czy naród żyje przykładnie — jako Bóg przykazał. Ilekroć niebo jest pogodne — wiedzą one, że Bóg otworzył bramy niebios i w jasności słonecznej zasiadł na sądy. Wówczas też jaskółki ulatują w niebo przed oblicze Pańskie i o każdym człowieku zdają sprawę, czy na męki zasłużył piekielne, czyli nagrody godzien niebieskiej.

Toż się strzedz trzeba przez całe życie jaskółek, bo one wszystko dostrzegą w locie i wszystko usłyszą nad ziemią, a każdą rzecz zanoszą do rozsądzenia Bogu sprawiedliwemu. Ale nie zdarzyło się jeszcze, żeby jaskółki nie dały znać Ojcu w niebie o dobrym choćby najmniejszym uczynku — i żeby człowieka zań nie spotkała nagroda.

# SREBRNIK.

(Legenda).

Było to wieczorem w czasie czterdziestodniowego postu przed wielu, wielu wiekami. Wśród zwiększającej się ciemności szło dwóch zakonników obok siebie w milczeniu, ciche tylko szepcąc modlitwy. Po prawej i lewej stronie na pustym stepie tu i ówdzie tylko sterczał niski krzaczek w połowie jeszcze śniegiem i lodem pokryty, albo też karłowate drzewko sosnowe, rzadko tylko pojawiało się wyższe drzewo z nagiemi gałęziami. Przed wędrowcami, w półmilowem oddaleniu odbijała od wieczornego nieba ciemna masa murów klasztornych, a zdala dochodził głuchy, przejmujący głos szumu fal morskich, które się z łoskotem rozbijały o niebotyczne skały brzegów północnego morza.

Obydwóch podróżnych serca przejęte były radością i błogim spokojem. Przed rokiem przeszło wysłani zostali do Rzymu, i do Ziemi świętej, aby dla klasztoru na pamiątkę męki Zbawiciela, przynieśli ziemi z ogrodu Getsemańskiego i z Golgoty i inne relikwie. Teraz zaś wracali szczęśliwie do swego klasztoru, przynosząc wiele drogich i świętych pamiątek. Nikt o ich powrocie nie wiedział, nikt ich się nie spodziewał, jakąż więc radość sprawi ich przybycie w klasztorze!

Takiemi przejęci byli myślami i o tem też rozpoczęli rozmowę, gdy się już do klasztoru zbliżali.

Naraz usłyszeli za sobą stąpanie, a gdy się obrócili, aby obaczyć tego osobliwszego wędrowca, który prócz nich znajdował się w tem pustkowiu, ujrzeli wysokiego mężczyznę, zbliżającego się do nich w ciemności.

Mimowolnie dreszcz przeszedł obydwóch i dziwną uczuli trwogę, gdy nieznajomy się zbliżył. Był ubrany jak pielgrzym, odziany szerokim płaszczem miał na głowie szeroki kapelusz, a w ręku laskę pielgrzymską. Nieznajomy pozdrowił obydwóch i zapytał:

— Daleko tu stąd do wsi Halmoe?

— Halmoe? — zapytał jeden z zakonników — do Halmoe tu na lewo, jeszcze trzy mile drogi; tam już dziś nie dojdziecie, bo tam się gęsty las rozpościera, a nadto przechodzić musicie przez nadbrzeżne skał urwiska, które gruba mgła osłania. Chodźcie z nami i przenocujcie w klasztorze, to wypoczniecie, a jutro możecie bezpiecznie iść dalej.

— Dziękuję wam — odpowiedział nieznajomy, dla mnie nie ma ani wypoczynku, ani pokoju. Trzeba mi iść dalej, a drogę już znajdę. Tymczasem za dobre serce wasze dam małą pamiątkę, jeżeli ją przyjąć zechcecie, pochodzi ona z Ziemi świętej, z czasów Chrystusowych; dla mnie ona niepotrzebnym jest ciężarem, a u was w dobrem będzie schowaniu

Zakonnicy z zadziwieniem spoglądali na nieznajomego pielgrzyma, ten zaś wydobył z pod płaszcza skórzany woreczek, roztworzył go, a przy świetle wychylającego się księżyca zabłysnął w oczach zakonników, duży, srebrny pieniądz.

— To jeden z tych trzydziestu srebrników — rzekł nieznajomy głuchym głosem — za które apostoł swego mistrza, Zbawiciela naszego zdradził i zaprzedał. Że jest prawdziwym, o tem sami się przekonacie, gdy go odbierzecie.

To mówiąc, podał im woreczek.

Przerażeni odwrócili się obydwaj od tej monety, zbroczonej krwią ukrzyżowanego Zbawiciela i samobójcy Judasza.

— Weźmijcie, — nalegał nieznajomy — klasztor wasz z tem zrobi co chce, wam się ten pieniądz prędzej przyda, jak mnie.

Z niechęcią tylko i z obawą odebrał jeden z zakonników i schował go do zanadrza. Nieznajomy podziękował im, odwrócił się i wielkimi krokami oddalił się od nich — i znikł w ciemności.

Zakonnicy szli jeszcze przez kwadrans, a w klasztorze widać już było oświetlone okna, gdy ten, który niósł ów woreczek, odezwał się do swego towarzysza:

— Bracie! tak mi ciężko i duszno. Zdaje się, że mi serce chce pęknąć, tętna mi biją, jak w gorączce, jak gdyby zły duch wszedł we mnie od czasu, jak noszę ten pieniądz, który odebrał mi spokój, a przed oczy duszy stawia najczarniejsze obrazy rozpaczy. Jakież to okropne uczucie sprawia ten dar nieszczęsny. Ja go precz odrzucę, aby się tego nieznośnego niepokoju pozbyć.

— Nie bracie, prosił go towarzysz — bo nużby go kto znalazł i większe jeszcze nieszczęście na siebie ściągnął? Oddaj mnie woreczek, a ja go do klasztoru zaniosę.

Towarzysz oddał mu woreczek. Niezadługo obaj przybyli do klasztoru i jeszcze tego samego wieczora musieli się stawić przed opata, któremu oddali wszystkie drogie relikwie z Ziemi św., a na ostatku także srebrnik, opowiedziawszy zadziwionemu opatowi, w jaki go sposób nabyli.

Opat udzielił im swego błogosławieństwa, położył wszystko obok swego łóżka na stoliczek i udał się na spoczynek.

Ale nagle obudził się wśród nocy, przerażony straszliwymi snami. Przed oczami duszy pojawił mu się Judasz zdrajca w tej chwili, gdy popełnia najokropniejszą zbrodnię, jaką człowiek popełnić zdoła — gdy niegodnie pożywa Ciało i Krew Pana Jezusa. Wydawał się jemu jako szatan, który swą czarną, obrzydliwą paszczęką Najświętsze Ciało pochłania.

Otrząsnąwszy się z tego snu straszliwego, zasnął znowu i widział Judasza, jak Pana nieba i ziemi zaprzedaje za kilka srebrników, potem go znowu ujrzał na owej roli krwi wieszającego się na drzewie.

Rozpacz, przerażenie i trwoga, jak gdyby całe piekło na nim ciężyło, wypędziły opata z łóżka. Chciał się modlić, ale mu się zdawało, że mu zdrajca gardło dławi i ręce krępuje — nie mógł się modlić i niewymowną trwogą gnany wyszedł na kurytarz, zeszedł ze schodów do celi przeora, aby u tego szukać pociechy. Ale z tym to samo się działo, co z opatem. Skoro tylko ujrzał ów nieszczęsny srebrnik, poczuł i on ten sam niepokój. Obaj nie umieli sobie inaczej poradzić, jak tylko pójść do kościoła i tam noc przepędzić u stóp ołtarza przed Najśw. Sakramentem.

Nazajutrz wezwał wszystkich zakonników do kapitularza. opowiedział zgromadzonym o tym straszliwym darze, który powracający bracia otrzymali od owego zagadkowego wędrowca i wezwał do narady co teraz z owym srebrnikiem począć. Z przerażeniem zbliżali się zakonnicy do stołu, na którym leżał srebrnik, a przewracając go, aby go z obydwóch stron obejrzeć, nie śmieli go dotknąć rękami. Połyskiwał on, jak nowy. Na jednej stronie była u brzegu ciemno-czerwona plama, czy rdza, czy krew, trudno było rozróżnić. Wśród dreszczu przypatrywali się zakonnicy temu srebrnikowi.

— A więc trzydzieści takich kawałków srebra! i za to zdradził ten nieszczęśliwy naszego Zbawiciela i utracił wieczną szczęśliwość! — zauważył jeden z obecnych.

— I piekło sobie kupił — zauważył drugi, wskazując na czerwoną plamę.

— Jakie to zaślepienie, jaka namiętność, za kilka takich kawałków kruszcu zaprzedać Zbawiciela!

— Lecz któż mógł być ten, co wam ten srebrnik dał? zapytał inny jednego z pielgrzymów.

Nie wiemy! — odpowiedzieli zamyśleni.

— Ja wiem! — odpowiedział jeden stary zakonnik, który ich opisu z uwagą słuchał — to chyba był wieczny żyd!

Po długiej naradzie zgodzono się wreszcie, aby srebrnik wmurować w ścianę kurytarza klasztornego.

Stało się tak, ale murarze mieli wiele pracy, zanim dzieła dokonali. Zdawało się jakoby mur nie chciał nieszczęsnego srebrnika przyjąć, bo długo opierał się narzędziom, aż wreszcie po długich mozołach zdołano w murze wykuć otwór, włożyć weń srebrnik i otwór znowu zamurować. Ale i ostatnie także tylko z trudem się udało. Kamień i wapno, któremi otwór zamurowano, zdawał się ustępować, aby nie mieć styczności z zapłatą zdrajcy, ponownie kamień wypadał, aż wreszcie się udało zamknąć otwór w sztuczny sposób. Lecz i to nie pomogło. Nazajutrz cały mur był w tem miejscu, w którym srebrnik zamurowano, wilgotny i mokry, chociaż ściana poprzednio zupełnie była sucha. Zdawało się, że ściana się poci, tak woda z niej występowała. Zaledwie trzy dni upłynęły, mur w onem miejscu zaczął się kruszyć, a niezadługo obok wmurowanego kamienia i srebrnik leżał na ziemi, jakoby ze ściany wyrzucony.

Teraz wrzucono go do stawu w ogrodzie, ale staw zaczął wysychać, szerząc straszliwe wyziewy, a żaby i wodne płazy uciekały od niego, od strasznej zapłaty na Zbawicielu dokonanej.

Następnie zakopano srebrnik w ziemi w ogrodzie, lecz i tu pokazały się straszne skutki, bo trawa i wszystkie rośliny naokoło uschły, jakboby za zbliżeniem się zimy. Ziemia wzdrygała się trzymać w swem łonie przeklęty pieniądz, bo niezadługo wyrzuciła go ze siebie, tak, że leżał na powierzchni.

Najstraszliwszą jednak rzeczą było, że mieszkańcy klasztoru zdawali się zupełnie być zmienieni, od czasu, gdy zapłata Judaszowa w obrębie klasztoru pozostawała. Te same uczucia, których doznawali obaj bracia pielgrzymi i później opat, ogarnęły teraz wszystkich zakonników. Utracili spokój i swobodę ducha, a natomiast ogarnęły wszystkich straszliwy niepokój, tęsknota i niewypowiedziany smutek. Była to jakoby klątwa, szerząca rozpacz, jakoby wszystka rozpacz, rozdzierająca wiecznie serca potępionych w piekle, wkradła się do klasztoru i do serc wszystkich jego mieszkańców. Nie było tam już ani uśmiechu, ani wesołego spojrzenia, ani wdzięcznej modlitwy, ani oznaki miłości i pokoju, wszyscy chodzili, jakoby potępieńcy i skazańcy, pełni niedowierzenia wzajemnego,. podejrzliwości, posępni, upadli na duchu, A jednakowoż nikt nie miał grzechu na sumieniu!

Jakież to muszą być męki potępionego Judasza w piekle, jaka to okropna klątwa, jaka to niezmierna, straszliwa kara musi czekać tego, który jest „winnym Ciała i Krwi Pańskiej“, skoro już takie objawy przywiązane są do monety tylko, która z nim miała styczność. O dobry Zbawicielu, zachowaj nas od nieszczęśliwej śmierci i świętokradzkiego przyjmowania Najświętszego Sakramentu.

Wreszcie nie było podobieństwem wytrzymać dłużej, to widział każdy; klasztor byłby jakoby przez niewidzialnego nieprzyjaciela wewnętrznie zupełnie został zburzony.

Zakonnicy zgromadzili się ponownie w kapitularzu i naradzali się, jakim sposobem nieszczęśliwy srebrnik uczynić nieszkodliwym.

Gdy wszyscy byli zebrani, powstał wielebny opat i uroczysta zapanowała cisza.

— Straszną naukę w tych dniach odebraliśmy, bracia — rozpoczął z powagą i wzruszeniem. — Wiecie, co mam na myśli. Mamy wpośród siebie część tej ceny Krwi, za którą występny apostoł zdradził swego mistrza a naszego Zbawiciela; a jakoby ten pieniądz miał udział w rozpaczy i mękach piekła do którego wtrącony został dawniejszy jego właściciel, jest i do niego przywiązana klątwa szerząca rozstrój i niepokój. Jakoby krzyk przeraźliwy rozpaczy potępionego apostoła, dla swych wiecznych i nieskończonych mąk w piekielnej otchłani, głosi nam ten nieszczęsny pieniądz najwymowniej tę straszną prawdę, że jest sprawiedliwy sąd Boży, że jest piekło. Cóż się dziać musi w duszy tego nieszczęśliwego, którego męki głosi ten pieniądz! Jaką on straszną cierpi karę, jaka go bezdenna ogarniać musi rozpacz, jakie boleści bez końca krępują go już od przeszło 1000 lat i po wszystkie wieki i dręczą go nieprzestannie dniem i nocą. Jakież ogarniać go muszą uczucia, i co teraz sądzi o swej zbrodni i nagrodzie, jaką otrzymał od świata: trzydzieści srebrników, za wieczną szczęśliwość! Jakże on teraz przeklinać musi ten pieniądz, który go pozbawił Boga i Zbawiciela, łaski i pokoju, szczęścia i nieba! Dlatego, bracia moi, obawiajmy się samych siebie i naszych namiętności; nie dawajmy im żadnych wolności, stłumiajmy je, módlmy się i czuwajmy, abyśmy nie weszli w pokuszenie i nie byli w nim na wieki zatraceni, tak, jak ten nieszczęśliwy!

Gdy opat skończył, całe zgromadzenie padło na kolana, wszyscy wznieśli ręce ku niebu i w świętej trwodze i z drżeniem przed strasznie bliskiem potępieniem, modlili się gorąco:

— O Panie, Boże Ojcze i Zbawicielu nasz, Jezu Chryste, nie oddawaj nas w moc naszych namiętności, chuci! Wybaw nas ode złego, nie wódź nas na pokuszenie, wzmocnij nas w dobrem przeciwko własnej naszej słabości i wrodzonemu nam lenistwu! A Ty, Najświętsza Matko Boża, uproś nam u tronu Bożego największą łaskę, abyśmy byli wytrwali i dobrowolnie nie dopuścili się żadnego grzechu! Amen.

Następnie naradzali się, co teraz począć z srebrnikiem, skoro go ani kamień, ani ziemia, ani woda przyjąć nie chcą i ponieważ z jego obecnością jakoby niewidzialny, straszliwy powiew z miejsca wiecznego zatracenia nad klasztorem się unosił i wszystkim jego mieszkańcom odbierał miłość, pokój, wesele, żarliwość i błogą nadzieją.

Wreszcie zauważył jeden z zakonników:

— Może moc złego zostanie złamaną, gdy ten srebrnik zamkniemy w jakim poświęconym przedmiocie, przeznaczonym do służby Bożej. Znaną przecież jest rzeczą, że złe, świętością przezwyciężyć można.

Na to odezwał się inny:

— A czy to nie będzie zbeszczeszczeniem świętości, gdy rzecz świętą połączymy z przeklętą zapłatą zdrady Judasza? A zresztą gdziebyśmy ten srebrnik umieścili, czy może w ołtarzu i relikwiarzu? nie byłoby to w rzeczy samej zbeszczeszczeniem?

Nie tak — odpowiedział pierwszy — miałem na myśli, abyśmy z tego srebrnika zrobili coś, coby do służby Bożej służyło, n. p. sprzęt jaki z tego srebra ulali, stopili go, pomieszali z innem srebrem i z tego ulali podstawę krzyża, lub lichtarza. Niejeden okrutnik pokutujący przerobił złotą rękojeść swojego miecza, tego narzędzia mordów, na krzyż. niejedna dostojna pani przerobiła swoje stroje i klejnoty, które służyły jej pysze, na święte szaty kościelne, a w ten sposób zmieniło się to, co było narzędziem złego, w środek do dobrego. Tak też sądziłbym, że z kruszcu tej przeklętej monety, możnaby zrobić jaki środek do dobrego i do błogosławieństwa Bożego.

— Brat ma racyą — odezwał się na to opat — i aby pomysł jego urzeczywistnić, zrobię zaraz propozycyą, która mnie się zdaje najstosowniejszą. Wiecie, że mamy podostatkiem świętych naczyń kościelnych, krzyży, lichtarzy i t. p., a natomiast potrzeba nam nowego dzwonu, w miejsce tego, który nam niedawno pękł. Jakby tedy to było, gdybyśmy ten srebrnik wrzucili do roztopionego kruszcu przygotowanego do

ulania dzwonu? Tu postać jego zupełnieby została zniszczoną, a kruszec jego pomieszałby się z drugim, tak, iżby zupełnie w nim znikł, a zła materya, odrobina mała w porównaniu do całości, zostałaby w ten sposób uświęconą. W ten sposób nie mogłaby mieć już złych skutków i musiałaby z resztą kruszcu zabrzmieć dla chwały Bożej, ilekroćby dzwon się odezwał, czy to na Anioł Pański, czy w czasie podniesienia, czy też na nabożeństwo. Dlatego jestem tego zdania, aby srebrnik wrzucić do kotła przy laniu dzwonu. Abyśmy zaś jak najprędzej pozbyli się tej nieszczęśliwej monety, zajmiemy się natychmiast przygotowaniami do ulania owego dzwonu.

Wszyscy obecni zgodzili się na ten pomysł. Nazajutrz zaraz sprowadzono ludwisarza, poczyniono wszystkie przygotowania, a w kilkanaście dni potem nastąpiło lanie dzwona. Gdy już masa kruszcowa w piecu się roztopiła i jakoby ogniste morze zaczęła się poruszać, wtedy opat ją pobłogosławił i wrzucił do niej srebrnik.

Ale poświęcony kruszec w straszliwy sposób zaczął wrzeć i szumieć, gdy zapłata zdrajcy do niego została wrzucona. Nikt nie mógł się do pieca zbliżyć, bo na wszystkie strony wytryskiwała ognista masa. W tym wirze srebrnik ze swoją czerwoną plamą wciąż na wierzch wypływał i zdawało się, jakoby wytopiony kruszec chciał go wyrzucić i pozbyć się tego przeklętego przedmiotu. Jednakże to się nie udało i ostatecznie widziano jak się srebrnik zwolna rozpuścił, a połyskujące jego srebro się rozpłynęło i pomieszało z resztą kruszcu. Powoli też płynna masa zupełnie się uspokoiła i teraz można było dzwon ulać. Dymiący kruszec popłynął do formy.

Gdy po ostygnięciu formy, takową rozebrano, stał dzwon ukończony i połyskujący w promieniach słonecznych. Srebrnika nie było już śladu, natomiast ujrzano na brzegu dzwona tę samą plamę krwawą, która była widoczna na srebrniku.

Nazajutrz dzwon uroczyście poświęcono i nadano mu imię Piotra, to jest tego apostoła, który za grzech swój pokutował, w przeciwstawieniu do Judasza, który się oddał rozpaczy; następnie dzwon zawieszono i zabrano się do wypróbowania jego głosu.

Z największem zaciekawieniem oczekiwali wszyscy pierwszego tonu nowego dzwona.

Pociągnięto za liny, potężny kolos zaczął się zwolna poruszać, serce po raz pierwszy uderzyło, a z metalowej piersi dzwonu odezwał się ton taki okropny, taki straszliwy, bolesny, jakoby jęk największej rozpaczy, że słuchaczom krew się w żyłach ścinała.

— Takiego przerażającego głosu boleści jeszcze świat nie słyszał — zauważył jeden stary zakonnik — to jest, jakoby krzyk rozpaczy z samego piekła, z piersi całego legionu potępieńców.

To prawdziwe wycie dzwonu napełniło zakonników straszną trwogą i rozpaczą.

— Tak straszliwie jęczą i wyją chyba tylko potępieńcy w przepaści odwiecznej — zauważył drugi zakonnik.

— Takiego dzwonienia my potrzebować nie możemy — mówił trzeci zakonnik — bo ono nie zwiastuje pokoju i błogosławieństwa Bożego, ale przekleństwo i najwyższy niepokój.

Straszliwy istotnie był głos tego nieszczęsnego dzwonu. Z całej okolicy schodzili się ludzie i pytali przerażeni, jakie się stało nieszczęście? Zwierzęta chowały się i kryły przestraszone, a nawet sami zakonnicy nie mogli się oprzeć uczuciu trwogi i dreszczu na ten przenikliwy, straszny głos, podobny do daremnego wołania o pomoc człowieka, na niechybną śmierć prowadzonego, wołania, w którem się wszystkie strachy śmiertelne, cała bezdenna przepaść rozpaczy przebijały.

— Dosyć tego! — rzekł opat do głębi wzruszony, — niech więc ten dzwon wisi spokojnie. Nie będziemy już weń dzwonili, ale zadowolnimy się resztą dzwonów.

Zaraz też odjęto liny, a dzwon odtąd wisiał opuszczony i nieużywany.

Tymczasem wielki post się kończył. Minęła niedziela Pasyjna i cały tydzień z piątkiem Matki Boskiej Bolesnej; minęła i Palmowa Niedziela i rozpoczął się święty Wielki Tydzień.

Już od kilku dni uważano, że dzwon, w którym był srebrnik zdrajcy Judasza, zaczął się kołysać, jakoby niewidzialnemi rękami poruszany. Wieczorami i nocami wychodził od niego niewyraźny ton, tajemnicze brzęczenie, niespokojna, rozpaczliwa skarga, a głos ten stawał się tem głośniejszym, wyraźniejszym, i dłużej się odzywał, im więcej zbliżały się dni męki Pańskiej.

W klasztorze panowała święta, poważna cisza. W największem skupieniu ducha mieli zakonnicy w tym czasie myśl swą skierowaną tylko ku jednemu celowi, ku Zbawicielowi i Jego męce. Od godziny do godziny towarzyszyli mu w duchu w Jego męce i cierpieniach, żadna myśl doczesna nie zakłócała ich skupienia. Męka Jezusowa była jedynem przedmiotem ich rozmowy, myśli, rozważania naśladownictwa, ich snów nawet, gdy na krótki udawali się spoczynek. Gorętsze, jak w innych latach było to usposobienie zakonników, a każdy

byłby z radością oddał świat cały i wszystkie jego rozkosze, gdyby miał wybór pomiędzy niemi a obrazą Zbawiciela.

Tak zbliżył się wieczór przed Wielkim Czwartkiem, tym dniem, w którym Zbawiciel Ciało swe i Krew jak niebieską mannę ustanowił dla człowieka, potem przez Judasza zdradzony, mękę swoją rozpoczął.

Wszyscy zakonnicy zebrani byli w kapitularzu. Głębokie milczenie panowało w całem zgromadzeniu. Jeden tylko dźwięczny, poważny głos czytał ustęp z Pisma św., jakto Pan Jezus z Apostołami i uczniami po raz ostatni zasiadł do wieczerzy, co do nich mówił i jak za nich arcykapłańską swą modlitwę zanosił do Boga.

Lektor czytał dalej równym, dźwięcznym głosem:

„I gdy oni jedli, rzekł: Zaprawdę powiadam, iż jeden z was mnie wyda. I zawstydziwszy się bardzo, poczęli każdy mówić: Ażaż to ja jest panie? A on odpowiadając, rzekł: który umacza ze mną rękę w misie, ten mię wyda. Syn człowieczy idzie, jako napisano o nim: ale biada onemu człowiekowi, przez którego syn człowieczy będzie wydan; dobrzeby mu było, gdyby się był nie narodził on człowiek. A odpowiadając Judasz, który go wydał, rzekł: Azażem ja jest Mistrzu? Rzekł mu: Tyś powiedział". (Mat 26, 21 — 25).

Podczas, gdy tę smutną scenę, która się ongi we wieczorniku w Jerozolimie pomiędzy Panem Jezusem a Judaszem odgrywała, wśród ogólnego milczenia w kapitularzu klasztornym odczytywano, słyszano od czasu do czasu uderzenie dzwonu Piotra, jakoby go niewidzialne ręce na wieży poruszały. Głos ten podobny był jęku potępieńca z odwiecznej przepaści zatracenia.

Lektor czytał dalej o ustanowieniu Najśw. Sakramentu i jak to Apostołowie przyjmowali ten Najśw. Sakrament z ręki swego Boga i Zbawiciela, a pomiędzy nimi był także Judasz nieszczęśliwy, który Ciało i Krew Jezusową niegodnie pożywał. Straszne to opowiadanie zapisane jest u Jana św. (13, 10 — 11): „I wy jesteście czystymi, ale nie wszyscy. Albowiem wiedział, któryby był, co go miał wydać, dla tego powiedział: nie jesteście wszyscy czystymi". I dalej czytał, jak Zbawiciel Apostołom swoim zbawienie wieczne przyobiecuje, a potem dodaje: „Nie o wszyskichci was mówię: Ja wiem którem obrał. Ale żeby się wypełniło pismo: Który je zemną chleb, podniesie przeciwko mnie piętę swoją".

Następnie odczytał lektor to straszliwe miejsce jak Pan zatwardziałemu uczniowi podaje kęs chleba i rozkazuje mu

grono Apostołów opuścić: „I omoczywszy chleb, dał Judaszowi Szymona Iszkaryoty. A po sztuczce wstąpił weń szatan. I rzekł mu Jezus: Co czynisz, czyń rychlej. On tedy wziąwszy sztuczkę, natychmiast wyszedł. A noc była“. (Jan 13, 26—27 i 30).

Okropny, przerażający dźwięk przerwał czytającemu zakonnikowi i wszystkich zgromadzonych nawskroś przeszył dreszczem. Jakoby ręką duchów poruszany, brzmiał złowrogi dzwon straszliwymi jękami z wieży. Nieskończona boleść, niezmierny smutek, żal bez nadziei, krzyk rozpaczy, bezwładna wściekłość i szyderczy szatański śmiech, wszystkie te straszliwe dźwięki brzmiały razem w tem dziwnem dzwonieniu. W zakonnikach krew się ścinała. Wreszcie dzwonienie się uspokoiło, a tylko cichy, grobowy dźwięk drżał jeszcze w powietrzu.

Opat powstał uroczyście.

— Bracia! — rzekł — na zbawienie biednej duszy waszej, na ostatnią waszą godzinę śmierci błagam i zaklinam was, abyście Przenajśw. Ciało i Krew Pańską jutro godnie przyjęli! Dzwon, którego okropny dźwięk co dopiero słyszeliśmy, opowiada nam wymownie tę straszliwą klątwę, jaka na tem spoczywa, który według nauki Apostoła Pawła św. winien jest, pożywając niegodnie Ciało i Krew Pańską. Prośmy i błagajmy Boga wśród łez, aby pomiędzy nami nie znalazł się Judasz, gdy jutro przystąpimy do Stołu Pańskiego, a przysposóbmy się tej nocy całem sercem na godne przyjęcie Przenajświętszego Ciała i Krwi Chrystusowej!

Do głębi wzruszeni wyszli zakonnicy ze sali aby się udać do swoich cel na spoczynek. Niejeden jeszcze długo klęczał przed swojem łożem, w gorącej modlitwie prosząc Boga o odpuszczenie grzechów, z których dawno się już wyspowiadał i za które pokutował, obiecując zarazem nie grzeszyć nadal ze świadomością i wzywając pomocy Matki Boskiej i Świętych Pańskich na uproszenie sobie łaski Komunii św.

Nazajutrz, we Wielki Czwartek, gdy sędziwy opat wśród nabożeństwa wszystkim mieszkańcom klasztoru rozdawał Komunię św., zaświeciła w oku jego łza radości. Z jakiem to skupieniem i nabożeństwem wszyscy do Stołu Pańskiego przystępowali. Jakie to głębokie uszanowanie, jaki spokój niezakłócony, jaka szczera wiara, jaka głęboka nadzieja, jaka święta, prawdziwa miłość przemawiały z ócz i z całego rozpromienionego oblicza tych, którzy do Stołu Pańskiego przystępowali! Nie było pomiędzy wszystkimi nikogo, któryby nie był komunikował się z najświętszem skupieniem i nabożeństwem.

— A więc, obróciłeś Panie, w niezmierzonej swej dobroci, złe ku dobremu, narzędzie piekła ku pozyskaniu dusz, straszliwą pamiątkę po zdrajcy Twego Ciała i Krwi Twej, ku pomożeniu nabożeństwa dla tego Najśw. Sakramentu — dziękował opat po skończonem nabożeństwie z głębi serca.

Przekonano się jednakże, że ten dzwon nieszczęsny nie może dłużej spokojnie wisieć obok drugich. W pewne dni i noce odzywał się od czasu do czasu przenikliwy jego głos, a wtenczas serca wszystkich, którzy go słuchali, przenikało przerażenie i rozpaczliwa trwoga. A gdy w inne dzwony zadzwoniono i razem z drugimi także ten dzwon poruszono, wtenczas zamieniało się harmonijne ich brzmienie w okropne piekielne wycie, które zamiast pociechy i radości zwiastowało trwogę i przerażenie. Podczas gdy dotychczas pioruny i burze klasztor omijały, to teraz właśnie nad samym klasztorem najgroźniej się gromadziły, a gdy wicher wpadł do wieży i poruszył dzwon Piotrowy, tak, że się okropnym dźwiękiem odezwał, natenczas zdawało się, jakby to był sygnał do rozpuszczenia wszystkich piekielnych potęg i złych duchów w nawałnicy, a dzwonienie drugich dzwonów wtedy nic już nie pomagało. Pioruny wtenczas biły na wszystkie strony, jak ogniste snopy, na głos straszliwego grzmotu drżał cały klasztor w swych posadach, a czarne chmury otoczyły go jakoby wojsko piekielnych duchów, pragnących ten przybytek chwały Bożej zdruzgotać i zniszczyć. Deszcze ulewne pustoszyły ogród klasztorny, pioruny rozrywały i niszczyły drzewa, a cały klasztor w śmiertelnej był trwodze, gdy nowa nawałnica od morza się zbliżała. Sąsiedzi i mieszkańcy okolicy przybiegli zatrwożeni i pytali gdzie moc świętych dzwonów przeciwko burzom i nawałnicom, gdzie się podziała moc ich zażegnywania? Dawniej wszystkie burze i nawałnice uchodziły przed dźwiękiem poświęconych dzwonów klasztornych na dalekie morze, a teraz wszystkie fale nadciągają na klasztor i okolicę, a zamiast dźwięku świętych dzwonów, pokój zwiastujących, wyje wśród grzmotów i piorunów straszliwy dzwon judaszowy, jakoby śmiechy szydercze szatana i rozwścieklone żywioły do nowych spustoszeń zapala! Tak więc znowu obradowano w klasztorze, co począć z tym nieszczęsnym dzwonem judaszowym.

Po krótkiej naradzie odezwał się opat:

— Zdaniem mojem najlepiej będzie wywieść dzwon zupełnie daleko od zamieszkałego lądu i pogrzebać go w przepaści, podobnej do tej, w jakiej znajduje się obecnie Judasz, którego klątwa na dzwonie ciąży. Wywieziemy go na brzeg

morza, tam go złożymy na okręt, wyjedziemy z nim w odludną wodną pustynię, daleko od drogi, którędy zwykle przejeżdżają okręty, tam go spuścimy do głębokiej otchłani morskiej. Tam niech spoczywa ze swojem przekleństwem, tam też ludziom nigdy nie zdoła zaszkodzić.

Na to wszyscy się zgodzili. Tak tedy dzwon zdjęto z wieży i odwieziono na brzeg morza oddalonego tylko o kilka mil. Nazajutrz wyruszył opat z wielu braćmi zakonnymi, chcąc błagać Boga, aby drogi okrętów na morzu zachował przed klątwą nieszczęsnego dzwona i piekła i chcąc być świadkiem, że dzwon istotnie wyrzucony został do morza.

Okręt był już u brzegu przygotowany, a dzwon przewieziono do niego na tratwie, wciągnięto na okręt, a następnie zakonnicy także zajęli na okręcie miejsca. Podniesiono kotwicę, wiatr nadął żagle, a okręt zwolna począł się oddalać od lądu, posuwając się naprzód w niezmierny, ciemny ocean, z którego rozliczne czarne skały po lewej i prawej stronie grożnie sterczały.

Daleko od lądu, w miejscu oddalonem od zwykłej drogi okrętów, zwolnił okręt biegu.

— Tu w tem miejscu niezmierna musi być głębia — zauważył sternik.

Natychmiast zabrano się do wrzucenia dzwonu w wodę. Zanim jednakże to nastąpiło, stanął przy nim opat ze swymi towarzyszami i symbolicznie zdjął z niego poświęcenie, które nań kiedyś zostało włożone. Straszliwie to brzmiało, gdy odczytał miejsce z Dziejów Apostolskich, w którem Piotr św. mówi o odrzuceniu Judasza, a które to miejsce odnosiło się także do dzwona, z którego zdejmowano poświęcenie. Mocno wzruszeni słuchali wszyscy tych słów: „Musiałoć się wypełnić pismo, które opowiedział Duch św. przez usta Dawidowe, o Judaszu który był wodzem tych, co pojmali Jezusa. Który był policzony z nami i dostała mu się cząstka tego usługiwania. A onci otrzymał rolą z zapłaty niesprawiedliwości; a obwiesiwszy się rozpękł się na poły i wypłynęły wszystkie wnętrzności jego. I stało się jawno wszystkim mieszkańcom Jeruzalem: tak, iż nazwano onę rolą ich językiem Haceldama, to jest, rola krwi. Albowiem napisano w księdze Psalmów: Niechaj będzie ich mieszkanie puste, a niech nie będzie ktoby w niem mieszkał, a biskupstwo jego niech weźmie drugi“. I dalej czytał opat jak pierwsze zgromadzenie chrześcijan się modliło o następcę nieszczęśliwego zdrajcy: „aby wziął miejsce usługowania tego i Apostolstwa, z którego wypadł Judasz, aby

odszedł na miejsce swe“. Następnie uderzyl opat młotem silnie w dzwon, który ostatni wydał jęk, jakoby go miał zdruzgotać, a potem przysunięto go do krawędzi okrętu; jeszcze raz zakonnicy gorąco się pomodlili, aby Bóg zachował okręt od nieszczęścia, poczem dzwon strącono w głębinę morską.

Wszystkich oczy zwrócone były na dzwon wpadający w nurty morza. Ale zaledwie dzwon dotknął się powierzchni morza, usunęły się wody naokoło, a wśrodku nich wpadał jakoby w niezgłębiony szyb, klątwą obarczony dzwon. Tysiące łokci głęboko stał niezmierny otwór nieruchomy, ciemny, czarny, straszliwy. Od czasu do czasu zamigotał w głębi blask jego, lub też głuchy dochodził głos, a wciąż jeszcze leciał w bezdenną przepaść — obraz nieszczęśliwego człowieka, który przez sąd Boży potępiony, ostatnią swą podróż odbywa do wiecznej przepaści, nieskończonej ciemności, aby być na wieki żywcem pogrzebany, w miejscu katuszy bez końca. Raz jeszcze się on odwróci i spojrzy na świat i jego rozkosze, za które wieczne swe szczęście zaprzedał, raz może jeszcze wyda okrzyk rozpaczy, a potem sam zamilknie, jego wołanie i oko jego pogrąży się w nieskończonej, wiecznej ciemności.

Teraz zdawało się, że dzwon padł na dno morza; u spodu morze zaczęło się poruszać, a znak ten w szalonem pędzie zbliżał się ku górze. Z głębi otchłani huczało i szumiało straszliwie, wody rzuciły się w otchłań, która się zamknęła, wyrzucając strumień wody w niesłychaną wysokość i straszliwie wzburzając bałwany; niezmierny, wściekły wir zaczął szaleć i pochwycił okręt w piekielny swój taniec.

— Zginęliśmy! — zakrzyknął sternik i jego pomocnicy.

Ale u steru stanął w tej chwili mąż nieznajomy, ubrany w starożytny, poważny strój, składający się z długiej szaty i szerokiego płaszcza, z poważnym i czcigodnym obliczem, z siwiejącą brodą i kosmykiem siwiejących włosów na wysokiem, wyłysiałem czole. Cała postać otoczoną była słabem, mglistem światłem. Trzymając jedną ręką ster, drugą wyciągnął ku szumiącemu wirowi i jakoby niewidomą siłą party, sunął okręt naprzód, przerzynając lekko i śmiało sam środek wściekłych prądów straszliwego wiru, aż stanął na otwartem morzu, o milę całą od ostatniego koła prądu. Tu znikł nieznajomy sternik, a okręt bez szwanku przybił do brzegu.

W milczeniu wyszli na ląd zakonnicy i żeglarze. Cud widoczny ich ocalił. Piotr święty — bo nikt inny być nie mógł tym cudownym sternikiem — ocalił okręt, a opat zauważył:

— Święty Piotr uczynił to, aby w przeciwstawieniu do Judasza, który oddał się rozpaczy, nas pouczyć, że przez prawdziwą pokutę i wezwanie miłosierdzia Bożego, jak on to kiedyś uczynił po swoim upadku, każdy grzesznik od mocy piekła wybawionym być może, chociażby wedle ludzkiego sądu ratunku dla niego nie było.

— Bez tej cudownej pomocy — mówili żeglarze — nie byłby okręt nigdy zdołał wydostać się z wiru.

Jakie ocaleni od niechybnej śmierci dzięki zasyłali ku niebu, opisywać nie potrzebujemy.

Klasztor odzyskał spokój; burze i nawałnice znowu go omijają, ciągną na morze i gromadzą się nad tem miejscem, gdzie dzwon w głębinie morskiej spoczywa; tam pioruny uderzają we wodę, tam grzmoty huczą aż do głębiny. A wir nad owem przeklętem miejscem — on pozostał, i aż do dnia dzisiejszego piekielne swe zatacza koła w obwodzie trzech mil. Kogo ten prąd raz pochwyci, tego też coraz silniej porywa i zatacza aż do środka koła, gdzie okręt w szalonym pędzie się rozbija i tonie. Żaden okręt jeszcze nie uszedł cało, który wpadł w prąd tego wiru, żadne żyjące stworzenie jeszcze tu ztąd z życiem nie uszło. W niektórych zaś czasach, mianowicie w przeddzień Wielkiego Czwartku, straszliwe dzwonienie dochodzi z tajemniczej głębi tego wiru — to jęk tego dzwonu, który odzywać się musi, aby człowieka przestrzegał przed największą zbrodnią, jaka istnieje: przed świętokradztwem i zdradzeniem Zbawiciela.

## Wielki Czwartek.

W dniu tym wielkiego tygodnia obiera się osobne w kościele zacienione miejsce, *ciemnicą* zwane, i tam po Mszy św. przenosi się Najświętszy Sakrament. Ta ciemnica wyobraża więzienie Jezusa Chrystusa, gdzie po swem pojmaniu pod strażą był trzymany. Po skończonem nabożeństwie, celebrujący kapłan rozbiera z ozdób ołtarze i takowe obmywa, na pamiątkę że Zbawiciel, którego ołtarz wyobraża, dla naszego odkupienia wyzuł się ze wszelkich ozdób i godności, a zarazem znaczy to obnażenie Chrystusa z jego szat w czasie męki. Dlatego przy tym obrzędzie odmawia się psalm XXI, zawierający proroctwo o męce Zbawiciela, a zaczynający się od tych słów: *„Podzielili się odzieniem mojem“*. Obmycie zaś ołtarzów oznacza, że Chrystus Pan przez swoją mękę i śmierć

najsromotniejszą obmył dusze ludzkie z grzechu pierworodnego i ze wszystkich nieczystości, dla których przedtem Boskiego oblicza oglądać nie mogli.

Po Mszy św. następuje obmywanie nóg, odbywające się dla uczczenia pokory Chrystusa Pana, który w tym dniu przyklękał przed Apostołami i obmywał im nogi, a po skończeniu i powitaniu mówił do nich: „Wy mnie nazywacie swym mistrzem i słusznie czynicie, jestem bowiem nim prawdziwie. Jeśli więc ja, który jestem waszym panem i mistrzem, obmywałem wam nogi, to i wy obmywajcie je jedni drugim Dałem wam bowiem przykład, abyście czynili to co ja uczyniłem“. Chrystus Pan, mówiąc te słowa, nie rozumiał bynajmniej, abyśmy koniecznie umywali nogi swym braciom, ale żebyśmy dla nich byli przejęci uczuciami pokory i poświęcenia, których obmycie było symbolem. Chęć jednak naśladowania Pana Jezusa skłaniała najwyższych pasterzy do odbywania tego obrzędu.

Jakoż w Rzymie od wieków Papież albo Kardynał-dziekan obmywa nogi dwunastu sędziwym kapłanom i potem służy im do stołu; toż samo czynią po wszystkich kościołach rzymsko-katolickich biskupi i przełożeni zakonów. Naśladowali ich niegdyś także i monarchowie katoliccy. W Warszawie obrząd obmywania nóg w Wielki Czwartek w kościele św. Jana zaprowadzony został dopiero na początku XVII stulecia za czasów Jana Wężyka, Biskupa poznańskiego, który także był niegdyś archidyakonem warszawskim. Dawniej prymas a nawet i sam monarcha tej ceremonii dopełniał. Zygmunt III, jak pisze w swoich pamiętnikach Albrecht Radziwiłł, z wielką uroczystością co rok obmywał nogi 12 najstarszym ludziom w królestwie, którzy umyślnie na ten dzień do Warszawy byli sprowadzeni. Zwykle czynił to w kościele św. Jana, a niekiedy w kaplicy zamkowej.

Toż samo robili następni monarchowie polscy, a ostatni tego rodzaju obrzęd odbył się w r. 1793 w tejże kaplicy. Obecny temu Antoni Magier zostawił nam następny opis zwyczajów dworu w tym dniu zachowywanych. W Wielki Czwartek, pisze on, co rok bywał obchód kwesty na szpitale tutejsze, w zamku, w sali audyencyonalnej, gdzie jedna z młodych dam z woreczkiem ozdobnie haftowanym, począwszy od króla, zbierała pieniądze z kolei od osób obecnych w okrąg sali stojących. Poczem następowało w kaplicy obmywanie nóg starcom, którzy usadowieni na ławkach i mając rozzutą jednę nogę, tę pobożną od króla odbierali usługę. Jeden

z szambelanów polewał z srebrnej nalewki wodą nogę każdego starca, król zaś podaną sobie serwetą tęż nogę przykrywał.

Następnie w sali kolumnowej zasiadali przy nakrytym stole ciż starcy z siwemi brodami, w wieku najmniej lat siedmdziesiąt. Byli oni ubrani w żupany karmazynowe, białym pasem przepasani i w białych płaszczach, w liczbie dwunastu, w towarzystwie podobnież sędziwego kapłana. Cześnika koronnego było obowiązkiem podawać królowi talerze, które on nakładał potrawami i zaproszonych starców traktował, zapytując się prawie każdego: „Jak się waćpan nazywasz? wiele masz lat?“ i t. p. Jeden z nich, nazwiskiem Zakrzewski, raz oświadczył, że podług metryki którą miał przy sobie, liczył lat 130, że był przy oblężeniu Wiednia za Jana III w r. 1683, i że tam otrzymał rany. Król przekonawszy się że tak było istotnie, dał mu natychmiast 50 dukatów. Zwykle ubodzy ci potrawy im dawane zabierali z sobą do domu, a nadto na wychodnem otrzymywali każdy woreczek z kilkoma dukatami

W staropolskich dworach szlachty polskiej, żyjącej patryarchalnie w stosunkach ze swemi kmiotkami, długo zwyczaj obmywania nóg starcom utrzymywał się, bo aż do końca 18 wieku; za Stanisława Augusta przetrwał jeszcze. Wtedy gospodarz wcześnie zbierał gromadkę dwunastu starców, na pamiątkę dwunastu Apostołów, najprzód ze wsi swoich, a do okrągłej liczby z żebraków, i w dzień ten dopełniał nóg obmywania.

## Zwyczaje wielkanocne nad Wartą.

Lud wielkopolski z postępem czasu, oświaty i przez naśladowanie obcych przykładów przekształca coraz bardziej swe serce prostacze, rozjaśnia umysł bystrzejszym dowcipem, rozumem i pojęciem, przemienia zewnętrzną barwę dawnego stroju i kroju; ale pod względem obyczajów i zwyczajów małozmienny, sięga pamięcią w odległe wieki pradziadów, przechowuje dotąd i trzyma się tradycyjnych obrzędów, jakie się w różnych porach roku przytrafiać zwykły.

Do najwięcej zajmujących zwyczajów tego ludu należą obchody świąt wielkanocnych, które co powiat, co okolica różnią się nieco od siebie. Po mniejszych parafiach przywożą wieśniacy ogromne kosze wypakowane chlebem, plackami,

jajami, kiełbasami i t. d. przed kościół, które po rezurekcyi, zwykle rano obchodzonej, poświęca ksiądz pleban, a organista, korzystając z tej gratki, wybiera ze wszystkich koszów, w rząd ustawionych jako haracz po jednem jajku dla siebie. Ledwie ksiądz wymówi ostatnie słowa: *benedico et aspergo*, kropiąc z kolei ustawione kosze, już chwackie parobczaki unoszą takowe do wozów i pędzą na wyścigi do domów swoich, w tem przekonaniu, że kto pierwszy stanie we wsi i w domu, najpierwszy ukończy żniwa i zasiewy.

W pierwsze święto wielkanocne zbierają się po południu parobczaki i sprawiają dyngus dziewczętom we wsi. Zwyczaj ten obchodzony podobno bywa na pamiątkę pierwszego chrztu Polski. Niejedna dziewoja, zlana od stóp do głowy, lub skąpana w stawie, przy studni, wśród silnego nieraz mrozu, przypłaciła to zdrowiem i życiem. Ale zwyczaje ludu są święte i za konieczność często poczytywane. Same też zresztą dziewczęta są sobie winne, bo niezlane w Wielkanoc, uważają się za wzgardzone, lub wyśmiewają parobczaków, jakoby wody żałowali, której Pan Bóg dosyć stworzył, że im nóg nie umyli, że tańcować z nimi nie będą.

Żałowałeś kapki wody,
Precz odemnie, od urody!
Nie pohasam na dożynku,
Z tobą niemrawo Jasinku.

W drugie święto rozpoczyna się kwesta wielkanocna. Zebrani parobczaki i chłopcy przebierają jednego z pośród siebie za niedźwiedzia, obwijając całego w grochowiny lub przewrócone do góry wełną kożuchy, i uwiązanego na łańcuchu oprowadzają z chaty do chaty, zmuszając go niebardzo lekkiemi kija razami do pokazywania różnych figlów i niezgrabnych skoków. Dwóch parobczaków niesie z sobą kosze do zbierania datków, składających się z jaj, placków, mięsiwa, wędzonek, i t. d., a jeden dźwiga na ramieniu rożen, na który się wkładają kiełbasy i kiszki. Gdy cała czereda wejdzie do chaty, pochwaliwszy Pana Boga, zagrzmi pieśnią niedobranym głosem:

Przyszliśmy tu po dyngusie,
Zaśpiewamy o Jezusie,
O Panience, świętym Piotrze,
P Judaszu i o łotrze.
A gosposia skrzętna, szczera,
Da nam wódki, chleba, sera,
Mając w domu z Bożej łaski,
Placki, jaja i kiełbaski.

Potem, wysuwając się po kolei przed gospodynię domu, kłaniają się czapkami do nóg i przymawiają dowcipnie o różne podarki.

W niejednym domu usłyszą przymówkę:

Tuście dziewcząt nie kąpali,
Idźcie sobie teraz dalej.

Albo też dziewczęta, mszcząc się za wczorajszą kąpiel, zlewają wychodzących z chaty. Wszędzie jednak odbierają przynależne datki, bo lud wielkopolski zawsze hojny, szczery i gościnny. Po skończonym obchodzie po wsi, udają się wszyscy do jednej, corocznie z kolei wybieranej chaty lub do karczmy, i tam wśród tańców i spiewów radosnych spożywają Boskie dary.

W Kaliskiem, nieco odmiennie obchodzą święta wielkanocne. Lepią z gliny lub wyrabiają z drzewa i pokrywają pierzem naturalnej wielkości koguta, zwanego k u r a s e m, którego umieszczają na małem dwukolnem wózku. W drugie święto obwożą tego kurasa po wsi, a w około niego, na pomalowanem łubiu z przetaka, umieszczone są zwykle figurki mistyczne, obracające się w różne strony za poruszeniem dyszelka. Zebrana parobczaków czereda, uzbrojona w ręczne sikawki, obchodzi chaty wiejskie. Dwóch chłopaków niesie kosze do zbierania datków, a skrzypek przygrywa pieśni śpiewanej chórem przed każdym domem. Przy tej sposobności odbywa się tak zwany mokry dyngus ze strony dziewcząt i parobczaków, którzy się wzajem, nie szczędząc wody, zlewają bez litości. Obszedłszy wszystkie chaty, udają się w końcu do dworu, gdzie obdarzeni datkiem pieniężnym i wódką, popisują się na dziedzińcu różnemi figlami.

Nadmienić wreszcie wypada, że i dziewczęta obchodzą chaty z przystrojoną choinką lub czubkiem świerka w różnobarwne wstęgi przybranym, zwanym zwykle g a i k i e m, i stósownym śpiewem upraszają o datki. Dziewczęta te są to po większej części ubogie mieszczanki z miast okolicznych.

## Uczciwy żebrak.

W roku 1789 w rocznicę koronacyi króla Stanisława Poniatowskiego, w kościele katedralnym, odprawiono w południe uroczyste nabożeństwo. Wspaniałe pojazdy, jedne za drugimi zajeżdżały przed świątynię, a żebracy, którzy rozsiedli

się pod jej murami, wyciągali ręce prosząc o jałmużnę wysiadających z nich pań i panów.

Pomiędzy tymi biedakami stał siwy jakiś starzec, twarz jego szlachetna miała wyraz smutny, a oczy miał załzawione. I on też wyciągał dłoń po jałmużnę, lecz czynił to nieśmiało, jak gdyby z bojaźnią i przymusem, a zawsze napróżno.

W tem wspanialszy od innych, zatrzymał się znowu pojazd przed kościołem. Siedział w nim mężczyzna otyły. Był to książę Karol Radziwiłł, najmożniejszy naówczas pan w Polsce i Litwie.

Wysiadłszy z powozu, postąpił ku przysionkowi kościoła, żebracy znając jego hojność podsunęli się ku niemu, wyciągając ręce.

Książę się zatrzymał, spojrzał uważnie po wszystkich, sięgnął do kieszeni, wydobył woreczek, a wyjąwszy z niego garść pieniędzy, zbliżył się do smutnego starca najdalej stojącego i wsunął mu je w dłoń; poczem spiesznie wszedł do kościoła.

Starzec spojrzał na dar, ale jakież było jego zdumienie, gdy przy blasku promieni słonecznych ujrzał samo złoto błyszczące. Wyraz niewypowiedzianej szczęśliwości rozjaśnił mu twarz, bo ta garść złota mogła mu zapewnić byt na całe życie i uwolnić od upokarzającego żebractwa. Jednakże po chwili żebrak zamyślił się smutnie.

— Książę pewno się pomylił — szepnął sam do siebie i łzy na nowo zabłysły mu w oczach.

Niedługo nabożeństwo się skończyło, pobożni zaczęli się wysuwać z kościoła, a między innymi ukazał się też i książę Karol.

Żebrak, który stał ciągle pod kościołem, trzymając złoto w dłoni, szybko przysunął się do niego.

— Łaskawy książę — rzekł ukazując pieniądze, — nie wiem czyli dając mi jałmużnę, nie popełniłeś pomyłki, jeśli tak jest, zwracam ją.

— A, panie kochanku — zawołał śmiejąc się książę — rzeczywiście nie miałem zamiaru dać ci tak hojnego daru, lecz zatrzymaj te pieniądze, niechaj one będą nagrodą za twoją uczciwość. Widzicie pdnowie — rzekł, zwróciwszy się do gromadzącyeh się koło niego ciekawych — jak to nikim pogardzać nie należy, i pod suknią żebraka może też ukrywać się serce szlachetne i dusza wzniosła.

## PAPIEŻ i KRAWIEC.

Działo się to za Napoleona I. Jak wiadomo, przyłączył on państwo kościelne do cesarstwa francuskiego. Papież Pius VI., nie mógł znieść tego w swojem położeniu jako głowa chrześcijaństwa, a nie mając innej siły fizycznej, użył władzy kościelnej i rzucił klątwę na Napoleona, jego popleczników i tych wszystkich, którzyby się jego klątwie sprzeciwiali.

Klątwa chwilowo niewiele pomódz mogła, a tem mniej wobec takiego przeciwnika, jakim był Napoleon, pierwszy bohater wieku, zwycięzca całego świata, otoczonego licznem i zwycięzkiem wojskiem. To też nie rozmyślając nad tem długo Napoleon, zabrał Papieża z Rzymu i przewiózłszy przez Alpy, osadził go najprzód w Sawonie, gdzie Pius VI. mieszkał trzy lata. Wprawdzie przygotował on tam dla niego dwór prawdziwie królewski i przeznaczył dwa miliony franków rocznego dochodu, lecz Papież oparł się stanowczo i nie chciał przyjmować żadnego daru od wyklętego cesarza, żył zatem w zupełnem odosobnieniu, odmawiając przyjęcia wszelkiej pomocy; nieraz brakowało mu dlatego na najpotrzebniejszych rzeczach.

Wtem zbliżała się Wielkanoc r. 1810. Pobożny Papież chciałby był chętnie z całą uroczystością to wielkie święto chrześcijańskie Zmartwychwstania obchodzić i ludność cała okoliczna domagała się tego najusilniej. Lecz Ojcu św. brakowało na stósownej szacie świątecznej, by w niej mógł wystąpić, bo dawniejszy strój papieski w takim razie używany, podarł się przez ten czas i nie można go było wdziać na taką uroczystość. W tej ostateczności zawołał Papież jakiegoś krawca do siebie i umawiał się z nim, jakby temu zaradzić. Krawiec wysłuchał z uszanowaniem Ojca świętego, mówiącego o podartych swych szatach bez narzekania, z prawdziwie chrześcijańską pokorą i przyrzekł, że uczyni, co tylko będzie w jego mocy.

Gdy krawiec rozczulony powrócił do domu, zaczął narzekać przed przyjaciółmi na smutne i tak przykre położenie starca, który był przecież głową Kościoła. I wszystkim pokazywał podarte szaty Ojca świętego. Gdy się ta wieść z ust do ust rozeszła po całem mieście, zaczęła się prawdziwa wędrówka do domku krawca, jakby do jakiego miejsca świętego. Wszyscy chcieli widzieć suknię Papieża i wszyscy chcieli z sobą unieść choć po kawałku tej sukni, którą uważali jako suknię męczennika Pańskiego.

Wkrótce cała suknia została pokrajaną na drobne kawałeczki i ani szmatki z niej nie pozostało. Natomiast stół biednego krawca napełniony był złotem i srebrem znoszonem zewsząd. Krawiec co prędzej sporządził nową suknię i uradowany pobiegł do Papieża, by mu ją zanieść wraz ze sporym workiem pieniędzy.

— Co to jest mój synu? — zapytał Pius zdziwiony.

— To wam Ojcze święty, przesyła miłość wiernych, wraz z serdecznem współczuciem, — odpowiedział krawiec, i zaczął opowiadać, jak to wszystko poszło.

Papież przyjął darowaną suknię z wdzięcznem rozczulenidm, ale worek z pieniędzmi oddał z powrotem, mówiąc z twarzą od radości upromienioną:

— Mój synu! Odwieczny czuwa nad wiernymi swoimi i pobożności jednych używa, by umniejszyć cierpienia drugich. wszystkim dobrym daję przeto moje błogosławieństwo ojcowskie. Tę suknię zachowam, ona mnie zapewne przeżyje, ale pierwszym moim obowiązkiem, a zarazem potrzebą, wspomagać biednych. Jam niewolnik, tyś wolny!.. Opatrzność wskazuje rękę, której mam je powierzyć, by w jej imieniu potrzebnych wspomagała. Bierz te pieniądze i rozdaj między ubogich.

Tak rzekł Papież i tak się stało. Od tego czasu poczciwy krawiec dostawał z własnych rąk Piusa VI. niejeden datek piei rozdał go sumiennie pomiędzy biednych. Tym sposobem przymuszony pobyt Papieża w Sawonie, stał się źródłem miłosieri błogosławieństwa Bożego.

# BOŻY ZNAK.

Było to w roku 995 [1]).

Ciemne skrzydła nocy rozpostarły się nad ziemią, a cisza ukołysała miasto. Usnął stary Kraków, a tylko czuwały straże u bram jego i Wisła szemrząc, płynęła dalej.

Drogą z pod lasów szedł jakiś podróżny do miasta. Po jego chodzie poznać było łatwo, iż jest bardzo zmęczony. Gdy zbliżył się do bramy, dowódzcy straży pokazał żelazny pierścień, a ten natychmiast rozkazał nieznajomego wpuścić do miasta.

— Radbym, abyście mnie też zaraz kazali odprowadzić do króla.

---

[1]) Panował wówczas w Polsce król Bolesław Chrobry.

— Chętniebym to uczynił — rzekł dowódzca — lecz trudno, bo nasz król miłościwy wyjechał, jak zwykle w czasie pokoju, aby opatrzyć zamki obronne po kraju i przekonać się, czy gdzie ludowi jakiej niesprawiedliwości nie wyrządzają.

Wędrowiec usłyszawszy to, zamyślił się.

Zauważył to dowódzca, iż nieznajomy smuci się, nie zastawszy króla, więc powiada:

— Oczekujemy powrotu króla Bolesława lada dzień, więc możecie na niego poczekać. Jeżliście tu obcy, to was zaprowadzę do wójta, który pilnuje spraw miasta a on wam da pomieszkanie.

— Dziękuję! Pójdę i sam sobie wyszukam u ludzi kąta na przytułek.

— Ale — dodał dowódzca — musicie być ostrożni. Jeśli jesteście człowiekiem nowej wiary, to nie mówcie o tem śmiało, bo tu teraz nasza wiara walczy ze starą i zgody nie ma.

Podróżny pożegnał się i poszedł do miasta. Idąc natrafił na stary dom, wpół prawie rozwalony. Drzwi były zaparte, więc podróżny zapukał. Otworzyła mu stara kobieta i wprowadziła do izby, w której się palił ogień na ognisku złożonem z kamieni.

— Prosiłbym o przytułek — rzekł podróżny.

— Siadajcie, oto chleb i miód, jest i mięsa trochę. A z daleka idziecie?

— Idę z zachodu, z bardzo daleka.

Wędrowiec usiadł, a stara kobieta z córką zabrała się do roboty. Wzięły dwie żerdzie, złożyły je w krzyż i związały z sobą. Miały one bowiem ubierać tak zwaną „Marzannę“ tj. boginię śmierci, którą zawsze na wiosnę topiono w pogańskich czasach naszego narodu.

Podróżny spojrzał na tę robotę, a wskazując na związane dwie żerdzie, spytał kobiety:

— Czy wy wiecie, że tak związane drzewa są znakiem nowej wiary?

— A prawda, matusiu — zawołała młodsza — taki sam znak Mieszko założył na świątyni Poświta na Wawelu i teraz już tę świątynię nazywają kościołem.

Stara kobieta z niechęcią spojrzała na nieznajomego i rzekła:

— Skądże wam to przyszło na myśl, iż żerdki związane na Marzannę są podobne do znaku nowej wiary? Ja tyle lat już Marzannę do topienia ubieram, a nigdy mi to na myśl nie przyszło.

Podróżny nic na to rzekł, a kobiety tymczasem owinęły żerdzie słomą, ubrały bałwana w koszulę i spodnicę, dały mu chustkę na głowę, a postać tego bałwana była istotnie do śmierci podobna, do śmierci, wyciągającej ręce, by chwytać wiele ofiar.

— A czy wam słudzy króla pozwolą topić Marzannę? — pytał nieznajomy — a stara kobieta na to:

— O, my nie pytamy się o to. Ja jestem wdową po ostatnim kapłanie w świątyni Poświta, a dokąd ja żyję, lud nie zapomni starej wiary i starych obyczajów. Rano, skoro świt, pójdziemy i utopimy Marzannę, zanim się pachołkowie zbiegną.

Jak stara mówiła, tak się stało.

O świcie zbudził podróżnego szmer. Kilkanaście osób było już w izbie, a te wziąwszy bałwana na ręce, wyniosły go cichaczem i podniósłszy jak chorągiew wysoko, szły z nim do rynku.

Nieznajomy pospieszył za nimi.

Gromadka czcicieli bałwana powiększała się coraz bardziej, przy końcu ulicy zatrzymali się wszyscy przy małem jeziorku. Tu jeszcze większe gromady czekały, a obaczywszy Marzannę, poczęli wszyscy śpiewać:

Śmierć się wije u płotu
Szukająca kłopotu

Przy końcu pieśni rzucono bałwana w wodę. Miało to oznaczać, iż zimową porę topią z chwilą powrotu wiosny. A gdy Marzannę wrzucono, wszyscy poczęli jak najspieszniej uciekać. Bo tak mówiono, że kto nie ucieknie, albo się oglądnie, lub stanie, ten umrze. Więc szalonym pędem rzucono się do ucieczki, aż nagle jakiś głos silny, potężny, zawołał:

— Stójcie!

Mimowoli każdy prawie obrucił się i spojrzał w stronę, skąd głos pochodził. Nieznajomy człek stał nad brzegiem jeziorka, szybko zdzierał z Marzanny szmaty i słomę, a gdy już tylko zostały dwie żerdzie na krzyż związane, podniósł je w górę i wołał silnie:

— Stójcie a patrzcie!

Przesądni, zabobonni poganie bali się stać i patrzeć, bo to u nich znaczyło śmierć, ale jakaś wielka siła trzymała ich jak przykutych.

Nieznajomy mówił:

— Oto patrzcie! W utopionej śmierci znachodzi się znak życia wiecznego. Nowy znak wiary prawdziwej powstaje na grobie bożka śmierci pradziadów naszych. Patrzcie! oto po

utopieniu Marzanny znachodzi się krzyż, znak taki sam, jaki się złoci na szczycie zamku i nowego kościoła.

Słowa te zrobiły silne wrażenie. Lud zebrał się wokoło nieznajomego, a ten słowami natchnionej miłości i siły wielkiej mówił długo i pięknie, a porywająco. Opowiadał historyą męki Zbawiciela, jego śmierć i zmartwychwstanie w chwale, pokonanie śmierci grzechu i otwarcie wrót do wieczności.

Słowa jego przemówiły potężnie do serc wszystkich, to też gdy nieznajomy skończył, tłum ludu upadł na kolana przed znakiem krzyża, trzymanym w ręku nieznajomego i łzami skrapiał brzegi jeziora.

W tej chwili ozwały się trąby. Ziemia jęknęła pod kopytami, król Bolesław Chrobry z rycerzami wjechał na rynek.

Obaczywszy mówcę, zbliżył się do niego i zawołał:

— Witajcie, Wojciechu! Szczęść wam Boże na ziemi polskiej.

Ów nieznajomy to był św. Wojciech, idący na Pomorze. Zyskał on wtedy w Krakowie wiele serc dla prawdziwej wiary, a lud go aniołem i posłańcem Bożym nazwał.

W parę lat potem na tem miejscu, gdzie stało jeziorko, król Bolesław wybudował kościół. Stoi on do dziś. Jest to maleńki, stary kościółek św. Wojciecha.

I jak się to dziwnie a pięknie złożyło. W miejscu, w którem po raz ostatni utopiono znak pogańskiego bóstwa, zabłysnął na wieżyczce kościoła nowy znak, — znak Boży, to jest krzyż z rozpiętemi ramionami. I istotnie śmierć wieczna tu utonęła, otwarły się zaś tu wrota do życia wiecznego. Boży znak, wzniesiony przez św. Wojciecha, zalśnił na ziemi polskiej i wzniesiony ku niebu, daje świadectwo naszej wiary.

Tysiąc lat znak Boży świeci tej Ojczyźnie i jej dzieciom, obyż lśnił jasno, a my, abyśmy nie dozwolili nigdy wrogom wiary i ojczyzny jego zaćmić ani znieważyć!

## FIGLE i ŻARTY.

**W sklepie.** Mama kazała prosić pana o pół funta herbaty, a jak będzie przechodzić, to zapłaci.

— Proszę powiedzieć mamie, że my tu kredytu nie dajemy.

— Ale, kiedy mama nie chce kredytu, tylko herbaty.

**Odważny Jankiel.** Cóż Janklu, puściłbyś się balonem?

— Owa! dlaczego nie? tylko coby balon był wypchany nie z gazem, ale z koronami.